



# naznaczona

część 11  
Wampirzych Dzienników

morgan rice

Wampirzych Dzienników

Morgan Rice

**Naznaczona**

«Lukeman Literary Management Ltd»

## **Rice M.**

Naznaczona / M. Rice — «Lukeman Literary Management Ltd»,  
— (Wampirzycy Dzienników)

W NAZNACZONEJ, szesnastoletnia Scarlet Paine usilnie stara się zrozumieć, co jej dolega, kiedy budzi się ze snu i uświadamia sobie, że staje się wampirem. Zrażona do swych rodziców i przyjaciół, może zwrócić się jedynie do Sage'a, tajemniczego chłopaka, który szybko stał się miłością jej życia. Jednakże Sage'a, którego dom Scarlet zastaje zamknięty na cztery spusty, nigdzie nie ma. Scarlet, osamotniona, nie mając do kogo się zwrócić, odszukuje przyjaciółki i próbuje pogodzić się z nimi. Kiedy wydaje się, że zapanowała zgoda i proponują Scarlet, by dołączyła do ich wypadu na opuszczoną wyspę na rzece Hudson – wszystko wymyka się spod kontroli, ujawniają się prawdziwe moce Scarlet, a to, kim są jej przyjaciele, a kim wrogowie staje się bardziej skomplikowane, niż kiedykolwiek wcześniej. Blake, który wciąż jest nią zainteresowany, próbuje wynagrodzić jej swoje błędy. Wydaje się szczery. Scarlet ma mętlik w głowie, jako że musi borykać się z decyzją, czy być z Blakiem, czy też poczekać na Sage'a, którego nigdzie nie może znaleźć. Kiedy Scarlet znajduje w końcu Sage'a, spędzają wspólnie najbardziej romantyczne chwile w jej życiu; choć cieniem kładzie się po nich tragedia, jako że Sage umiera i zostało mu już tylko kilka dni życia. W międzyczasie, Kyle, przemieniony w wampira, jednego z dwóch istniejących na świecie, wpada w morderczy szal i poszukuje Scarlet; Caitlin i Caleb konsultują się z Aidenem i każde z nich wyrusza z odrębną misją – Caleb z zadaniem odnalezienia i zabicia Kyle'a, a Caitlin do osławionej biblioteki uniwersytetu Yale, by przebadać starożytny relikwiarz, o którym chodzą słuchy, że zarówno leczy, jak i zabija wampiry. Rozpoczyna się wyścig z czasem. Scarlet przemienia się gwałtownie, nie mogąc zapanować nad tym, czym się staje, a Sage umiera z każdą mijającą godziną. Kiedy wydarzenia osiągają kulminacyjny i zaskakujący, pełen wartkiej akcji zwrot, Scarlet pozostaje dokonać dziejowego wyboru – który odmieni świat na zawsze. Czy Scarlet wybierze ostateczne poświęcenie, by ocalić życie Sage'a? Czy zaryzykuje wszystko, co ma, dla miłości?

© Rice M.

© Lukeman Literary Management Ltd

## Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	10
ROZDZIAŁ DRUGI	13
ROZDZIAŁ TRZECI	15
ROZDZIAŁ CZWARTY	17
ROZDZIAŁ PIĄTY	19
ROZDZIAŁ SZÓSTY	22
ROZDZIAŁ SIÓDMY	26
ROZDZIAŁ ÓSMY	28
Конец ознакомительного фрагмента.	30

# Morgan Rice

## Naznaczona (część 11 Wampirzych Dzienników)

Przekład: Michał Głuszak

### Morgan Rice

Powieści Morgan Rice zajmują pierwsze miejsce na liście najlepiej sprzedających się książek w rankingu USA Today. Jest autorką bestsellerowej serii fantasy KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA, obejmującej siedemnaście części; bestsellerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, obejmującej jedenaście części (kolejne w przygotowaniu); bestsellerowego cyklu TRYLOGIA O PRZETRZWANIU, post-apokaliptycznego thrillera obejmującego dwie części (kolejna w przygotowaniu); oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY, składającej się z sześciu części. Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad dwudziestu pięciu językach.

Pisarka chętnie czyta wszelkie wiadomości od was. Zachęcamy zatem do kontaktu z nią za pośrednictwem strony [www.morganricebooks.com](http://www.morganricebooks.com), gdzie można dopisać swój adres do listy mailingowej, otrzymać bezpłatną książkę i darmowe materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, otrzymać najnowsze, niedostępne gdzie indziej informacje, połączyć się poprzez Facebook i Twitter i po prostu pozostać w kontakcie.

### Wybrane komentarze

Rywal ZMIERZCHU oraz PAMIĘTNIKÓW WAMPIRÓW. Nie będziesz mógł oprzeć się chęci czytania do ostatniej strony. Jeśli jesteś miłośnikiem przygody, romansu i wampirów to ta książka jest właśnie dla ciebie!

– *Vampirebooksite.com* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Rice udaje się wciągnąć czytelnika w akcję już od pierwszych stron, wykorzystując genialną narrację wykraczającą daleko poza zwykłe opisy sytuacji... PRZEMIENIONA to dobrze napisana książka, którą bardzo szybko się czyta.

– *Black Lagoon Reviews* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Idealna opowieść dla młodych czytelników. Morgan Rice zrobiła świetną robotę, budując niezwykle ciąg zdarzeń. Orzeźwiająca i niepowtarzalna. Skupia się wokół jednej dziewczyny, jednej niezwyklej dziewczyny! Wydarzenia zmieniają się w wyjątkowo szybkim tempie. Łatwo się czyta. Zalecany nadzór rodzicielski.

– *The Romance Reviews* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Zawładnęła moją uwagę od samego początku i do końca to się nie zmieniło... To historia o zadziwiającej przygodzie, wartkiej i pełnej akcji od samego początku. Nie ma tu miejsca na nudę.

– *Paranormal Romance Guild* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Kipi akcją, romanssem, przygodą i suspensem. Sięgnij po nią i zakochaj się na nowo.

– *vampirebooksite.com* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Wspaniała fabuła. To ten rodzaj książki, którą ciężko odłożyć w nocy. Zakończona tak nieoczekiwanym i spektakularnym akcentem, iż będziesz natychmiast chciał kupić drugą część, tylko po to, aby zobaczyć, co będzie dalej.

– *The Dallas Examiner* (komentarz dotyczący *Kochany*)

Morgan Rice udowadnia kolejny już raz, że jest szalenie utalentowaną autorką opowiadań... Jej książki podobają się szerokiemu gronu odbiorców łącznie z młodszymi fanami gatunku fantasy i opowieści o wampirach. Kończy się niespodziewanym akcentem, który pozostawia czytelnika w szoku.

– *The Romance Reviews* (komentarz dotyczący *Kochany*)

## **Książki Morgan Rice**

### **KORON I CHWAŁA**

NIEWOLNIK, WOJOWNIK, KRÓLOWA (Część 1)

### **KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY**

POWRÓT SMOKÓW (Część 1)

POWRÓT WALECZNYCH (Część 2)

POTEGA HONORU (Część 3)

KUŹNIA MĘSTWA (Część 4)

KRÓLESTWO CIENI (Część 5)

NOC ŚMIAŁKÓW (Część 6)

### **KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA**

WYPRAWA BOHATERÓW (Część 1)

MARSZ WŁADCÓW (Część 2)

LOS SMOKÓW (Część 3)

ZEW HONORU (Część 4)

BLASK CHWAŁY (Część 5)

SZARŻA WALECZNYCH (Część 6)

RYTUAŁ MIECZY (Część 7)

OFIARA BRONI (Część 8)

NIEBO ZAKŁĘĆ (Część 9)

MORZE TARCZ (Część 10)

ŻELAZNE RZĄDY (Część 11)

KRAINA OGNI (Część 12)

RZĄDY KRÓLOWYCH (Część 13)

PRZYSIĘGA BRACI (Część 14)

SEN ŚMIERTELNIKÓW (Część 15)

POTYCZKA RYCERZY (Część 16)

ŚMIERTELNA BITWA (Część 17)

### **TRYLOGIA O PRZETRZEWANIU**

ARENA JEDEN: ŁOWCY NIEWOLNIKÓW (Część 1)

ARENA DWA (Część 2)

### **WAMPIRZE DZIENNIKI**

PRZEMIENIONA (Część 1)

KOCHANY (Część 2)

ZDRADZONA (Część 3)

## OPĘTANA (Część 12)

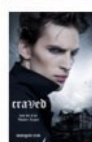
[illegible]

A Quest of Heroes



Twisted

twisted





### **Posłuchaj (listen) cyklu Wampirze Dzienniki w formacie audio!**

Copyright © 2014 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejsza publikacja elektroniczna została dopuszczona do wykorzystania wyłącznie na użytek własny. Nie podlega odsprzedaży ani nie może stanowić przedmiotu darowizny, w którym to przypadku należy zakupić osobny egzemplarz dla każdej kolejnej osoby. Jeśli publikacja została zakupiona na użytek osoby trzeciej, należy zwrócić ją i zakupić własną kopię. Dziękujemy za okazanie szacunku dla ciężkiej pracy autorki publikacji.

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Ilustracja na okładce Copyright Subbotina Anna, na licencji Shutterstock.com

*– Chęć i moc nasza tak są odrębnym żywiołem,  
Że najczęściej upada to, co człek zamierzy,  
Myśl nasza do nas, cel jej nie do nas należy –*

*--William Shakespeare, Hamlet*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Caitlin Paine stała w pokoju na zapleczu knajpy u Pete'a, wraz z Calebem, Samem, Polly i tuzinem policjantów, i wpatrywała się w rozbite okno, w mrok rozświetlany policyjnymi latarkami. Zastanawiała się, co u diabła stało się z jej córką. Scarlet, miłość jej życia, była gdzieś tam, na zewnątrz, biegając po nocy, sama, prawdopodobnie pełna lęku, a myśl o tym rozdzierała jej serce. Lecz tym, co przynosiło Caitlin jeszcze większy ból niż świadomość, iż Scarlet gdzieś zaginęła, była myśl, kim Scarlet się stała, był zapamiętany przez nią obraz Scarlet, jej ostatnie spojrzenie na nią, zanim rzuciła się przez okno. Nie była jej córką.

Była czymś innym.

Caitlin zadrżała na myśl o tym i choć bardzo starała się z tego otrząsnąć, wiedziała, że to prawda. Walczyła z tą myślą przez cały czas, walczyła, nie chcąc uwierzyć, że Scarlet nie jest już człowiekiem, że jest tak naprawdę wampirem. Walczyła z Aidenem, z księdzem, z Calebem, a przede wszystkim z samą sobą, żywiąc nadzieję, pragnąc, by było to cokolwiek innego. Jednakże, nie miała już siły, by walczyć ze sobą. Nie miała żadnego wytłumaczenia.

Serce waliło jej mocno, kiedy utkwiała wzrok w mroku. Tym razem była tego świadkiem, widziała to na własne oczy. Jej dziewczynka przeszła przemianę, nakarmiła się tym mężczyzną, zyskała nadludzką siłę. Cisnęła tym ogromnym człowiekiem o ścianę jakby był wykałaczką – i wyskoczyła w mrok tak szybko, w mgnieniu oka, że nie było mowy, iż mogła być nadal człowiekiem. Nie było również mowy i Caitlin dobrze to wiedziała, że mogą ją złapać. Wiedziała, że policja marnuje tylko czas.

Tym razem było również inaczej, ponieważ nie była jedyną osobą będącą świadkiem tego wydarzenia. Caitlin zauważyła wyraz twarzy Caleba, Sama i Polly, widziała to w ich oczach: wyraz zszokowania, strachu przed tym, co nadprzyrodzone. Scarlet, ta, którą kochali najbardziej na świecie, nie była już Scarlet.

Takie rzeczy zdarzały się w koszmarach, bajkach i legendach. Caitlin nie wyobrażała sobie nawet, że kiedykolwiek zobaczy coś takiego. Ten widok wstrząsnął nie tylko tym, jak postrzegała Scarlet, ale również wpłynął na jej stosunek do całego świata. Jak coś takiego mogło w ogóle istnieć? Dlaczego ta planeta stała się domem kogoś jeszcze oprócz ludzi?

– Pani Paine?

Caitlin odwróciła się i zauważyła stojącego obok niej policjanta z długopisem i notatnikiem w dłoniach, który cierpliwie przyglądał się jej.

– Słyszała pani moje pytanie?

Caitlin, drżąc, oszołomiona, potrząsnęła powoli głową.

– Przepraszam – odparła zachrypniętym głosem. – Nie słyszałam.

– Pytałem, czy wie pani może, dokąd udała się pani córka?

Caitlin westchnęła, kiedy o tym pomyślała. Gdyby chodziło o dawną Scarlet, z łatwością mogłaby im powiedzieć. Do domu przyjaciółki, na siłownię; na randkę, boisko...

Lecz co do nowej Scarlet, nie miała pojęcia.

– Sama chciałabym to wiedzieć – odparła w końcu.

Podszedł inny policjant.

– Może ma jakichś przyjaciół, których mogłaby odwiedzić? – ponaglił. – Albo chłopaka?

Usłyszawszy ostatni wyraz, Caitlin odwróciła się i przeszukała wzrokiem pomieszczenie, wypatrując jakichkolwiek oznak tego tajemniczego chłopaka, który zjawił się nagle w knajpie. Sage'a, tak się przedstawił. Ot tak, po prostu, tylko jedno słowo, jakby powinna wiedzieć, kim jest. Caitlin musiała przyznać, że nigdy nie widziała nikogo podobnego. Emanował mocą o wiele potężniejszą, niż ktokolwiek, kogo знаła, i przypominał bardziej dorosłego mężczyznę niż nastolatka. Był ubrany

na czarno, a jego błyszczące oczy i wyraziste kości policzkowe sprawiały, że wyglądał jak ktoś, kto przybył tu z innego stulecia.

Najdziwniejsze ze wszystkiego było zaś to, co zrobił z tymi miejscowymi szumowinami w knajpie. Wiedziała, że Caleb i Sam potrafią z łatwością zadbać o siebie – a jednak ten chłopak odniósł szybkie zwycięstwo tam, gdzie oni polegli, spuszczając im wszystkim manto w zawrotnym tempie. Kim był? Dlaczego pojawił się tutaj?

I dlaczego szukał Scarlet?

Mimo to, kiedy rozejrzała się wokół, Caitlin nie zauważyła żadnych jego śladów. Sage również zniknął w jakiś sposób. Zastanawiała się, co wiąże go ze Scarlet? Jej matczyne instynkt podpowiadał jej, że tych dwoje są parą. Ale kim on był? Tajemnica jedynie się pogłębiała.

Caitlin nie czuła się na siłach, by wspominać o tym policjantom; zbyt dziwne było to wszystko.

– Nie – skłamała drżącym głosem Caitlin. – O żadnym mi nie wiadomo.

– Powiedziała pani, że był tu jakiś chłopak, razem z wami, zamieszany w tą sprzeczkę.

– Zna pani jego nazwisko? – spytał inny funkcjonariusz

Caitlin potrząsnęła głową.

– Sage – wtrąciła Polly, podchodząc o krok. – Powiedział, że nazywa się Sage.

Z jakiegoś powodu Caitlin nie chciała im tego powiedzieć; ogarnął ją wobec niego instynkt opiekuńczy. Czuła również, choć nie potrafiła tego wyjaśnić, że Sage również nie jest człowiekiem – a nie była gotowa powiedzieć o tym policji, nie chciała, by kolejny raz wszyscy pomyśleli, że oszalała.

Policjanci stali dalej, notując skrzątnie jego imię, a ona zastanawiała się, co zrobić.

– A co z tymi wszystkimi mendami? – napomniała ich Polly, rozglądając się wkoło z niepokojem. – Tymi wszystkimi kretynami, którzy wszczęli bójkę? Nie aresztujecie ich?

Policjanci spojrzeli po sobie z zażenowaniem.

Jeden z nich odchrząknął.

– Aresztowaliśmy już Kyle'a, tego mężczyznę, który zaatakował pani córkę – powiedział funkcjonariusz. – A co do innych, cóż, szczerze mówiąc, to mamy ich słowo przeciwko waszemu – a oni twierdzą, że to wy zaczęliście tę scysję.

– Nie zrobiliśmy tego! – powiedział Caleb, podchodząc ze złością, okazując guz na głowie. – Przyszliśmy tu, szukając córki – a oni próbowali nas powstrzymać.

– Jak już powiedziałem – stwierdził policjant – mamy tu wasze słowo przeciwko ich. Oni twierdzą, że to wy zadaliście pierwszy cios – i szczerze, są w o wiele gorszym stanie od was. Jeśli ich zaaresztuję, to was również będę musiał.

Caitlin spoglądała na nich, kipiąc ze złości.

– A co z moją córką? – spytała. Jak zamierzacie ją znaleźć?

– Psze pani, mogę panią zapewnić, w tej chwili szukają jej wszystkie nasze patrole – powiedział funkcjonariusz. – Ale strasznie trudno szukać kogoś w sytuacji, kiedy nie wiemy, dokąd się udała i dlaczego. Potrzebny nam motyw.

– Powiedziała pani, że uciekła – powiedział inny policjant, podchodząc bliżej. – Czegoś tu nie rozumiemy. Dlaczego uciekła? Przyjechaliście tu. Była z wami. Była bezpieczna. To dlaczego uciekła?

Caitlin spojrzała na Caleba i pozostałych, a oni wszyscy odwrócili wzrok z konsternacją.

– Nie wiem – powiedziała szczerze.

– To dlaczego nie próbowała pani jej zatrzymać? – spytał kolejny policjant. – Albo pobiec za nią?

– Pan nie rozumie – powiedziała Caitlin, starając się nadać temu jakiś sens. – Nie uciekła tak po prostu; ona wyskoczyła. To wyglądało tak samo... jakbym widziała jelenia. Nie bylibyśmy w stanie jej złapać, nawet gdybyśmy spróbowali.

Policjant spojrzał sceptycznie na swoich kolegów.

– Twierdzi pani, że z tych wszystkich dorosłych ludzi ani jeden nie mógł choć spróbować jej złapać? Kim ona jest? Jakaś olimpijską sprinterką? – zadrwił ze sceptycyzmem.

– Piła dziś pani? – spytał inny policjant.

– Posłuchajcie – warknął Caleb, podchodząc bliżej. – Moja żona nie zmyśla tego. Ja również to widziałem. Wszyscy to widzieliśmy: jej brat i jego żona również. Cała nasza czwórka. Sądzi pan, że wszyscy mieliśmy zwidy?

Policjant podniósł dłoń.

– Nie trzeba od razu się denerwować. Jesteśmy w tej samej drużynie. Ale proszę spojrzeć na to z naszej strony: mówicie, że wasz dzieciak biega szybciej od jelenia. Oczywiście, to nie ma sensu. Może wszyscy odczuwacie wstrząs po bójce. Czasami nie wszystko jest takie, na jakie wygląda. Mówię tylko, że to wszystko nie trzyma się kupy.

Policjant wymienił sceptyczne spojrzenie ze swoim kolegą, który podszedł do nich.

– Jak już mówiłem, nasze patrole wyruszyły na poszukiwania waszej córki. W dziewięciu przypadkach na dziesięć, młodociani uciekinierzy pojawiają się z powrotem w domu. Lub u jednego z przyjaciół. Najlepszą radą, jakiej mogę państwu udzielić, jest powrót do domu i nieruszanie się z niego ani na chwilę. Założę się, że to wszystko, co tu zaszło, wynikało z jej chęci nagięcia zasad, wejścia do knajpy dla dorosłych i napicia się, ale potem sytuacja wymknęła się spod kontroli. Może spotkała w knajpie jakiegoś faceta. Kiedy państwo przyszli, prawdopodobnie ulotniła się, bo była zażenowana. Wracajcie do domu. Założę się, że tam na was czeka. – konkludował funkcjonariusz, niejako zapiinając wszystko elegancko na guzik.

Caitlin potrząsnęła głową ogarnięta frustracją.

– Nie rozumiecie – powiedziała. – Nie znacie mojej córki. Scarlet nie chodzi do knajp. I nie zagaduje obcych mężczyzn. Przyszła tu, ponieważ cierpiała. Przyszła tu, ponieważ nie miała gdzie pójść. Ponieważ czegoś jej brakowało. Przyszła tu, bo się przeistacza. Nie rozumiecie? Przechodzi przemianę.

Policjanci spojrzeli na nią jak na wariatkę; Caitlin nie cierpiała tego spojrzenia.

– Przemianę? – powtórzyli, jakby straciła rozum.

Caitlin westchnęła, ulegając rozpacz.

– Jeśli jej nie znajdziecie, ludziom może stać się krzywda.

Funkcjonariusz zmarszczył brwi.

– Krzywda? Co pani mówi? Czy pani córka krzywdzi ludzi? Jest uzbrojona?

Caitlin potrząsnęła głową, nie posiadając się z irytacji. Ci miejscowi gliniarze nigdy tego nie pojmą; tylko marnowała powietrze.

– Nie jest uzbrojona. Nigdy nie skrzywdziła nawet jednej muchy. Ale jeśli wasi ludzie ją znajdą, nie będą w stanie nad nią zapanować.

Policjanci spojrzeli po sobie, jakby wychodząc z założenia, że Caitlin jest szalona, po czym odwrócili się i wrócili do swych czynności w drugim pomieszczeniu.

Obserwując, jak odchodzą, Caitlin odwróciła się i wyjrzała na zewnątrz przez zbite okno, w mrok.

Scarlet, pomyślała. *Gdzie jesteś? Wróć do domu, dziecko. Kocham cię. Przepraszam. Cokolwiek zrobiłam, czym cię rozgniewałam, przepraszam. Proszę, wróć do domu.*

Caitlin uświadomiła sobie, że najdziwniejsze w tym wszystkim było to, iż myśląc o Scarlet wałęsającej się gdzieś tam, samotnie w nocy, nie czuła strachu o nią.

**Obawiała się za to o los innych, których jej córka spotka na swej drodze**

## ROZDZIAŁ DRUGI

Kyle siedział w tyle policyjnego auta, z rękoma spiętymi kajdankami za plecami, spoglądając na kratownicę ciasnego radiowozu i czuł się, jak jeszcze nigdy dotąd. Coś w nim ulegało zmianie, nie wiedział, co, ale wyczuwał, jak wrze. Przypominało mu czasy, kiedy zażywał heroinę, ten początkowy kop, kiedy igła dotykała skóry. To nowe odczucie było podobne do palącego żaru, który rozpierał żyły – i towarzyszyło mu uczucie nieposkromionej siły. Czuł, jak go ogarnia, czuł, jakby krew rozsadzała mu żyły. Czuł się o wiele silniejszy, niż kiedykolwiek dotąd. Ciarki przebiegły mu po skórze twarzy, czole i karku. Nagły przypływ wewnętrznej mocy był czymś, czego nie mógł zrozumieć.

Jednak nie obchodziło go to; jak długo ta moc tkwiła w jego wnętrzu, przyjmował ją z chęcią. Spoglądał zamglonym wzrokiem na świat, który wkrótce zabarwił się na czerwono, powoli z powrotem nabierając ostrości. Za kratą dostrzegł dwóch policjantów.

Kiedy dzwonienie w uszach zaczęło zanikać, usłyszał ich rozmowę, niewyraźną z początku.

– Tego delikwenta czeka długa odsiadka – powiedział jeden do drugiego.

– Ponoć dopiero co wyszedł. Jego strata.

Policjanci roześmiali się i ich zgrzytliwy odgłos przeszył głowę Kyle'a. Radiowóz pędził po autostradzie z włączonym kogutem, a Kyle stał się coraz bardziej świadomy swego otoczenia i uzmysłowił sobie, gdzie się znajduje. Był na tej samej Drodze 9-tej, zmierzając z powrotem w kierunku więzienia, miejsca, w którym spędził ostatnie piętnaście lat życia. Składał w całość wydarzenia z minionej nocy: knajpę... dziewczynę... miał już zabawić się nią, kiedy... coś się wydarzyło. Ta mała suka ugryzła go.

Uświadomienie sobie tego uderzyło go niczym napływająca fala. Ugryzła go.

Spróbował sięgnąć rękoma w górę i dotknąć szyi – dwóch śladów, które pulsowały bólem – ale coś go powstrzymało; zdał sobie sprawę, że jego ręce były skrupowane kajdankami za plecami.

Poruszył rękoma i ze zdumieniem zauważył, że rozdzielił kajdanki bez jakiegokolwiek wysiłku. Podniósł nadgarstki ze zdziwieniem i spojrzał na nie, zszokowany własną siłą: czyżby kajdanki działały wadliwie? Spojrzał na nie, dyndające przed nim, i pomyślał: Jak mógł tego dokonać?

Podniósł dłoń i dotknął dwóch guzów na szyi, które zapiekły, jakby ugryzienie wniknęło w jego żyły. Siedział tak, patrząc na kajdanki, i zastanawiał się: czy wampiry istnieją? Czy to możliwe?

Wyszczerzył zęby. Nadszedł czas, by się przekonać.

Podniósł kajdanki i zastukał nimi o znajdującą się przed nim kratownicę.

Obydwaj policjanci odwrócili się i spojrzeli na niego; tym razem już nie było im do śmiechu; teraz wyraz ich twarzy nosił znamiona szoku. Ręce Kyle'a były wolne, zwisały z nich pęknięte kajdanki, którymi stukał w kratę, szczerząc się do nich.

– Jasna cholera – powiedział jeden funkcjonariusz do drugiego. – Nie skułeś go, Bill?

– Skułem. Jestem pewien. Skułem go mocno jak diabli.

– Nie wystarczająco – warknął Kyle.

Jeden z gliniarzy sięgnął po broń, a drugi wcisnął hamulce.

Ale niedostatecznie szybko. Z niewiarygodną prędkością dłonie Kyle'a wyskoczyły do przodu, rozerwały kratę, jakby była wykałaczką, i Kyle wsunął się na przednie siedzenie.

Skoczył na policjanta siedzącego na miejscu pasażera, wybił mu broń z dłoni, wziął zamach i przywalił łokciem z taką siłą, że złamał mu kark.

Pozostały gliniarz skrzyknął gwałtownie i radiowóz zatoczył się na autostradzie, podczas gdy Kyle sięgnął, chwycił go za tył głowy i przyłożył mu z czoła. Powietrze wypełnił odgłos pęknięcia i z głowy policjanta trysnęła krew, pokrywając Kyle'a w całości. Kyle sięgnął do kierownicy, chcąc powstrzymać skręt samochodu – ale było już za późno.

Radiowóz wpadł na drugą stronę autostrady i powietrze przecięła odgłos klaksonów. Uderzyli w nadjeżdżający samochód.

Kyle przeleciał głową w przód przez szybę i wylądował na autostradzie, tocząc się raz po raz, podczas gdy radiowóz odbił i również przewrócił się na bok. Nadjeżdżający w kierunku Kyle'a samochód zahamował z piskiem opon, ale zbyt późno – Kyle poczuł, jak miażdży mu klatkę piersiową, przejeżdżając po nim.

Auto zatrzymało się z piskiem. Kyle leżał na plecach, oddychając z trudem, kiedy z samochodu wyskoczyła kobieta po trzydziestce; wydzierając się i płacząc, podbiegła do niego.

– Mój Boże, wszystko w porządku? – powiedziała pośpiesznie. – Próbowałam się zatrzymać. Mój Boże. Zabiłam człowieka! O mój Boże!

Kobieta wpadła w histerię, klęcząc nad nim i płacząc.

Nagle Kyle otworzył oczy, usiadł i spojrzał na kobietę.

Jej płacz ustał. Gapiła się na niego wielkimi, błyszczącymi od drogowych świateł oczami w szoku.

Kyle wyszczerzył zęby, nachylił się i zatopił swe piękne, zachwycające, wydłużające się wciąż kły w jej gardle.

Ogarnęło go najwspanialsze uczucie w życiu.

Kobieta wrzeszczała, kiedy pił jej krew, sycąc się do chwili, aż jej ciało opadło bezwładnie w jego ramiona.

Wstał na nogi zadowolony, obrócił się i zlustrował opustoszałą autostradę.

**Wyprostował kołnierz, wygładził koszulę i zrobił pierwszy krok.  
Miasto czekała wielka zapłata – a wszystko miało zacząć się od Scarlet**

## ROZDZIAŁ TRZECI

Sage szybował w powietrzu, lecąc w porannym przedświcie, a na jego policzku błysnęła oświetlona słonecznym blaskiem łza, którą szybko starł. Był wycieńczony, miał zapuchnięte oczy od całonocnych poszukiwań Scarlet. Był pewien, że wielokrotnie dostrzegł ją w tym czasie, opadając z nieba na jakąś obcą dziewczynę, która w szoku patrzyła, jak ląduje i za chwilę odlatuje. Zaczynał zastanawiać się, czy w ogóle kiedyś ją znajdzie.

Scarlet nie było nigdzie i Sage nie mógł tego zrozumieć. Ich więź była tak silna, iż był pewien, że jest w stanie ją wyczuć, że zaprowadzi go do niej. Nie mógł pojąć, co się stało. Czyżby umarła?

Jedyne, co mu przychodziło do głowy, to, że była w takim stanie emocjonalnym, że wszystkie jej zmysły zostały zablokowane i Sage nie był w stanie wychwycić miejsca jej pobytu; a może zapadła w głęboki sen, co, jak wiadomo, przydarzało się wampirom po pierwszym zaspokojeniu głodu człowiekiem. Dla niektórych mogło to skończyć się śmiercią i serce ścisnęło mu się z bólu na myśl, że przebywa gdzieś tam, sam Bóg wie gdzie, sama i samotna. Czy kiedykolwiek się obudzi?

Leciał nisko nad ziemią, mknąc tak szybko, że mijał niezauważony wszystkie znane miejsca, w których był razem z nią – szkołę, jej dom, każde miejsce, które przychodziło mu na myśl – wykorzystując swój przenikliwy wzrok, przeczesując drzewa i ulice w poszukiwaniu dziewczyny.

Kiedy słońce stało już wysoko i mijały kolejne godziny, Sage w końcu zrozumiał, że nie ma sensu dalej szukać. Musiał poczekać, aż pojawi się sama, lub ponownie wykryją ją jego zmysły.

Sage był wyczerpany, jak jeszcze nigdy przedtem. Czuł, że opuszczają go siły. Wiedział, że pozostało mu tylko kilka dni do chwili, gdy umrze, a kiedy odczuł kolejny ból w klatce piersiowej, ramionach i barkach, zrozumiał, że ten proces się zaczyna. Wiedział, że wkrótce opuści ziemię – i pogodził się już z tym. Pragnął jedynie spędzić swe ostatnie dni razem ze Scarlet.

Nie mając już gdzie jej szukać, zatoczył koło i poleciał do rozległej posiadłości rodziny, leżącej nad rzeką Hudson. Spojrzał na nią, kołując wysoko, niczym orzeł, zastanawiając się: czy powinien spotkać się z nimi ostatni raz? Nie widział powodu. Wszyscy nienawidzili go teraz za to, że nie przyprowadził do nich Scarlet; musiał przyznać, że on również ich nienawidził. Ostatnim razem, kiedy odchodził, jego siostra umierała na jego rękach, a Lore był w drodze, by odnaleźć i zabić Scarlet. Nie chciał stanąć z nimi ponownie twarzą w twarz.

Ale nie miał dokąd pójść.

Lecąc, usłyszał huk, spuścił wzrok i dostrzegł kilkoro swoich kuzynów, którzy podnosili do okien deski i przybijali je gwoździami. Jedno po drugim, zabijali deskami okna swej rodowej rezydencji. Sage zauważył też, że kilka tuzinów kuzynów wzbiło się w powietrze. Był zaintrygowany. Najwyraźniej, coś tam w dole się działo.

Musiał dowiedzieć się, co. W jakiejś mierze pragnął poznać cel wznoszących się w powietrzu kuzynów, co stanie się z jego rodziną – choć z drugiej strony, tej dominującej, chciał wiedzieć, czy mają jakieś pojęcie, gdzie może znajdować się Scarlet. Może któryś z nich coś widział lub słyszał. Może schwytał ją Lore. Musiał wiedzieć; był to jego jedyny trop.

Zanurkował w powietrzu, w kierunku rodzinnej rezydencji i wylądował na tylnym, marmurowym dziedzińcu, tuż przed okazałymi schodami prowadzącymi do tylnego wejścia, którym były wysokie, balkonowe drzwi.

Kiedy zbliżył się do nich, otworzyły się nagle i Sage ujrzał wychodzących przez nie matkę i ojca, ze srogimi, pełnymi dezaprobaty minami.

– Co ty tu znowu robisz? – spytała matka, jakby był niemile widzianym intruzem.

– Już raz nas zabiłeś – powiedział ojciec. Nasz lud mógłby przetrwać, gdyby nie ty. Przyszedłeś zabić nas powtórnie?

Sage zmarszczył brwi; miał już tak bardzo dość rodzicielskiej dezaprobaty.

– Dokąd wybieracie się wszyscy? – zapytał.

– A jak myślisz? – zaripostował ojciec. – Po raz pierwszy od tysiąca lat zwołano posiedzenie Wielkiej Rady.

Sage spojrzał na niego w szoku.

– Na zamku Boldt? – spytał. – Lecicie na Tysiąc Wysp?

Rodzice skarcili go spojrzeniem.

– A ciebie co to obchodzi? – powiedziała matka.

Sage nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Wielka Rada nie zbierała się chyba od zarania dziejów, a zebranie się ich wszystkich w jednym miejscu nie wróżyło niczego dobrego.

– Ale dlaczego? – spytał. – Po co się zwoływać, skoro i tak wszyscy umrzemy?

Ojciec podszedł do niego, podniósł palec i dziabnął go nim w klatkę piersiową.

– Nie jesteśmy tacy, jak ty – warknął. – Nie odejdziemy bez walki. Nasza armia będzie najliczniejszą ze wszystkich znanych dotąd każdemu. Po raz pierwszy zgromadzimy się w jednym miejscu. Rodzaj ludzki zapłaci. Zemścimy się.

– Zemścicie? Za co? – spytał Sage. – Ludzie nic wam nie zrobili. Dlaczego chcecie skrzywdzić niewinnych?

Ojciec uśmiechnął się do niego.

– Głupi do samego końca – powiedział. – A dlaczego nie? Co mamy do stracenia? I co robią, zabijają nas?

Ojciec roześmiał się, a matka dołączyła do niego. Obydwoje chwycili się za ręce i przeszli obok niego, trącając go brutalnie i gotując się do odlotu.

Sage wrzasnął za nimi:

– Pamiętam czasy, kiedy postępowaliście szlachetnie – powiedział. – Teraz jednak jesteście zerem. Jeszcze gorzej. Czy to z powodu rozpacz?

Odwrócili się i skrzywili się.

– Sage, twój problem polega na tym, że choć jesteś jednym z nas, nigdy nie rozumiałeś naszego rodzaju. Zagłada świata jest jedyną rzeczą, której pragniemy od zawsze. I tylko ty, ty jeden, różniłeś się od nas pod tym względem.

– Jesteś dzieckiem, którego nigdy nie mogliśmy zrozumieć – powiedziała matka. – I nigdy nie przestałeś sprawiać nam zawodu.

Sage poczuł przeszywający ból. Był zbyt osłabiony, by odpowiedzieć.

Kiedy odwrócili się, by odejść, Sage, ciężko dysząc, zebrał resztki sił i wrzasnął: – Scarlet! Gdzie ona jest? Powiedźcie mi!

Matka odwróciła się i uśmiechnęła szeroko.

– Ach, nie martw się o nią – powiedziała. – Lore znajdzie ją i uratuje nas. Albo zginie, próbując. A jeśli przeżyjemy, nawet niech ci nie przyjdzie do głowy, że jest wśród nas miejsce dla ciebie.

Sage poczerwieniał na twarzy.

– Nienawidzę cię. Nienawidzę was oboje!

Rodzice odwrócili się jedynie, uśmiechając się do siebie, weszli na marmurowe blanki i wzniesli się w niebo.

Sage stał i patrzył, jak odlatują, znikają na niebie wraz z pozostałymi jego kuzynami. Stał sam, przed zabitą deskami rodową rezydencją, nie mając tu już nic do roboty. Jego rodzina nienawidziła go – a on nienawidził ich.

Lore. Na myśl o nim Sage poczuł przypływ determinacji. Nie mógł pozwolić mu znaleźć Scarlet. Pomimo całego bólu, który odczuwał wewnątrz, wiedział, że musi zebrać siły po raz ostatni. Musiał znaleźć Scarlet.

**Lub umrzeć, próbując tego dokonać**

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Caitlin siedziała na miejscu pasażera ich pickupa, wykończona i załamana, podczas gdy Caleb jeździł w tę i z powrotem Drogą 9-tą od wielu godzin, przeczesując okolicę. Wstawał świt. Caitlin wyjrzała przez przednią szybę na niezwykle niebo. Dziwiła się, że wstawał już następny dzień. Jeździli przez całą noc, ich dwójka na przednich siedzeniach, a za nimi Sam i Polly, z oczami utkwionymi w poboczu, szukając Scarlet wszędzie dokoła. Raz, kiedy zatrzymali się z piskiem, gdyż Caitlin sądziła, że ją zobaczyła – przekonali się, iż był to jedynie strach na wróble.

Caitlin zamknęła na chwilę oczy. Powieki sprawiały wrażenie ciężkich, spuchniętych. Zamknąwszy je, zobaczyła miganie reflektorów samochodowych, mijających ich w bezustannie napływającym ruchu ulicznym, dokładnie takie samo jak przez całą mijającą noc. Miała ochotę się rozpłakać.

Czuła wewnętrzną pustkę, niczym zła matka, której zabrakło, gdy potrzebowała jej Scarlet – która nie uwierzyła jej, nie rozumiała, nie miała wystarczająco czasu. W jakiś sposób Caitlin czuła się za to odpowiedzialna. I miała ochotę umrzeć, kiedy przyszło jej na myśl, że może już nigdy nie ujrzeć córki ponownie.

Zaczęła płakać, więc otworzyła oczy i szybko starła łzy. Caleb sięgnął ręką i chwycił jej dłoń, ale strząsnęła ją. Odwróciła się, by wyrzeć przez okno, pragnąc chwili prywatności, odosobnienia – pragnąc umrzeć. Zdała sobie sprawę, że bez jej małej dziewczynki nie pozostało jej już nic w życiu.

Poczuła dodającą otuchy dłoń na ramieniu. Odwróciła się i zobaczyła pochylonego Sama.

– Jeździliśmy całą noc – powiedział. – Nigdzie nie ma po niej śladu. Sprawdziliśmy cały po calu całą Drogę 9-tą. Gliny też jej szukają, o wiele większą liczbą samochodów. Jesteśmy wszyscy wyczerpani i nie mamy pojęcia, gdzie ona może być. Może nawet jest w domu i czeka tam na nas.

– Zgadza się – powiedziała Polly. – Jedźmy do domu. Musimy trochę odpocząć.

Nagle rozległ się głośny dźwięk klaksonu i Caitlin podniosła wzrok. Zobaczyła jadącą na nich ciężarówkę, jako że byli po niewłaściwej stronie drogi.

– CALEB! – krzyknęła Caitlin.

Caleb nagle skręcił gwałtownie i w ostatniej sekundzie zjechał z drogi z powrotem na swój pas, mijając trąbiącą ciężarówkę ledwie o stopę.

Caitlin spojrzała na niego zatrwożona i zobaczyła twarz wykończonego męża i jego nabiegłe krwią oczy.

– Co to było? – spytała.

– Przepraszam – powiedział. – Musiałem przysnąć.

– To nikomu nie wyjdzie na dobre – powiedziała Polly. – Potrzebny jest nam odpoczynek. Musimy wrócić do domu. Wszyscy jesteśmy wycieńczeni.

Caitlin zastanowiła się i w końcu, po dłuższej chwili, skinęła głową.

– W porządku. Zabierz nas do domu.

\*

Caitlin siedziała na kanapie w słońcu i kartkowała album ze zdjęciami Scarlet. Zalewały ją fale napływających licznie wspomnień o Scarlet w różnym wieku. Pocierała fotografie kciukiem, pragnąc ponad wszystko mieć Scarlet teraz przy sobie. Oddałaby wszystko, nawet serce i duszę.

Podniosła wyrwaną stronę z książki, którą wyniosła z biblioteki, tę z opisem pradawnego rytuału, tę, która ocaliłaby Scarlet gdyby tylko Caitlin wróciła w porę, tę, która miała wyleczyć ją z wampiryzmu. Caitlin podarła ją na malutkie kawałeczki i rzuciła na podłogę. Wylądowały obok Ruth, jej wielkiej suki rasy husky, która zaskomlała i zwinęła się w kłębek przy jej boku.

Ta strona, ten rytuał, które kiedyś znaczyły dla Caitlin tak wiele, były teraz bezużyteczne. Scarlet zdążyła już zaspokoić głód i żaden rytuał nie mógł przynieść jej ocalenia.

Caleb, Sam i Polly, którzy siedzieli wraz z nią w pokoju, byli pogrążeni we własnym świecie, leżąc rozparci na kanapie i fotelach, pogrążeni we śnie lub półśnie. Leżeli w nieznośnej ciszy, czekając, kiedy Scarlet przekroczy drzwi – podejrzewając jednakże, że to nigdy nie nastąpi.

Nagle zadzwonił telefon. Caitlin podskoczyła i porwała go trzęsącą się dłonią. Kilka razy upuściła słuchawkę, zanim w końcu podniosła ją i przyłożyła do ucha.

– Halo, halo, halo? – powiedziała. – Scarlet, czy to ty? Scarlet!?

– Proszę pani, tutaj posterunkowy Stinton – odezwał się nagle męski głos.

– Dzwonię, by powiadomić panią, że jak dotąd nie natrafiliśmy na żaden ślad pani córki.

Caitlin poczuła, że pozbawiono jej ostatniej nadziei. Objęła słuchawkę, ściskając ją mocno z rozpacz.

– Nie przykładacie się wystarczająco – fuknęła.

– Proszę pani, robimy wszystko, co w naszej mocy—

Caitlin nie czekała na resztę jego zdania. Rzuciła słuchawkę na widelki, po czym chwyciła telefon, wielki, połączony linią naziemną, pochodzący jeszcze z lat osiemdziesiątych i wyrwała kabel ze ściany, podniosła go nad głowę i cisnęła na podłogę.

Caleb, Sam i Polly podskoczyli naraz, wybudzeni nagle ze snu i spojrzeli na nią jak na wariatkę.

Caitlin spuściła wzrok na telefon i uzmysłowiła sobie, że może rzeczywiście nią jest.

Wypadła z pokoju, otworzyła drzwi wychodzące na wielką werandę, wyszła na zewnątrz i usiadła na bujanym fotelu. Panował poranny chłód, ale nie przejęła się tym. Popadła w całkowite ośpienie.

Objęła się szczerlnie rękoma i zaczęła kołysać w chłodnym, listopadowym powietrzu. Obejrzała się na opustoszałą ulicę, która rozciągała się w świetle nowego dnia, nie widząc ani żywej duszy, ani jednego poruszającego się auta, wszystkie domy wciąż spowite były mrokiem. Absolutny spokój. Idealnie cicha, podmiejska uliczka, każdy jeden liść na swoim miejscu, wszystko czyste i takie, jakie miało być. Całkowicie normalne.

Jednakże Caitlin wiedziała, że nic nie jest normalne. Nagle znienawidziła to miejsce, które uwielbiała od lat. Nienawidziła tej ciszy; nienawidziła tego spokoju; nienawidziła tego porządku. Wiele dałaby teraz za chaos, za to, aby ten spokój został zakłócony, za jakieś dźwięki, za ruch, za to, by pojawiła się jej córka.

*Scarlet, modliła się, zamknąwszy oczy i rozplakawszy się, wróć do mnie, dziecko. Proszę, wróć do mnie.*

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Scarlet Paine czuła, że płynie w powietrzu, słysząc trzepot miliona niewielkich skrzydełek tuż przy uszach, czuła, że wznosi się coraz wyżej i wyżej. Obejrzała się i zobaczyła, że dźwiga ją gromada nietoperzy, milion gacków otaczających ją zewsząd, uczepionych jej koszuli, niosących ją w przestworza.

Ulatywała ponad chmury, przez najpiękniejszy świt, jaki kiedykolwiek widziała, chmury rozstępujące się i pierzchające, ciemnopomarańczowe niebo, które zdawało się całe płonąć. Nie rozumiała, co się dzieje, ale z jakiegoś powodu nie odczuwała strachu. Wyczuwała, że dokąś ją zabierają, i kiedy tak piszczą i trzepotały dookoła, unosiły ją pod niebo, czuła, jakby była jedną z nich.

Zanim zdołała pojąć, co się dzieje, nietoperze posadziły ją delikatnie przed największym zamkiem, jaki kiedykolwiek widziała. Miał wiekowe, kamienne mury, a ona stała przed ogromnymi, strzelistymi wrotami. Nietoperze odleciały w dal, znikając, i łopot ich skrzydeł wkrótce ucichł.

Stała przed drzwiami, które powoli otworzyły się. Ze środka wylało się złocistożółte światło i Scarlet poczuła, że przyciąga ją do siebie, zachęca, by weszła.

Przekroczyła próg, minęła światło i weszła do największej komnaty, jaką w życiu widziała. Wewnątrz, stojąc idealnie na baczność, zwrócone twarzami do niej, stały wampiry, armia wampirów ubranych na czarno. Zawisła nad nimi, spoglądając w dół, jakby była ich przywódczynią.

Jak jeden mąż, wzniesli otwarte dłonie i uderzyli się w pierś.

– Powiłaś nasz lud – rozbrzmiały jednym głosem, który odbił się echem od murów. – Powiłaś nasz lud!

Wampiry wydały z siebie potężny okrzyk i w jednej chwili Scarlet wszystko zrozumiała, poczuła, jakby w końcu odnalazła swój dom.

Powieki Scarlet podskoczyły, kiedy obudził ją dźwięk tłuczonego szkła. Zdała sobie sprawę, że leży twarzą do ziemi na betonie, z przyciśniętymi do niego policzkami, zziębnięta i przemoknięta. Zauważyła pełzające w jej kierunku mrówki, położyła dłonie na szorstkim cemencie, usiadła i odgarnęła je od siebie.

Była zziębnięta, obolała, jej szyja i plecy były zeszywniałe od spania w niewygodnej pozycji. Przede wszystkim, była zdezorientowana, wystraszona tym, iż nie poznawała swego otoczenia. Znajdowała się pod niewielkim, miejscowym mostem, leżąc na pokrytym cementem zbocz, otoczona blaskiem wstającego świtu. Cuchnęło tu moczem i zwietrzałym piwem. Scarlet zobaczyła również, że całą powierzchnię pokrywało graffiti, a kiedy przyjrzała się uważniej, zauważyła puszki po piwie, różne odpadki, zużyte igły. Uświadomiła sobie, że znalazła się w złym miejscu. Rozejrzała się wokół, mrugając oczyma, i nie mogła pojąć, gdzie jest, ani jak tu trafiła.

Dobiegł ją ponowny odgłos tłuczonego szkła, któremu towarzyszył dźwięk szurających stóp i Scarlet odwróciła się szybko, mając się na baczności.

Około dziesięć stóp dalej stało czterech meneli w łachmanach, wyglądających bądź to na pijanych, bądź też na prochach – albo po prostu szukających zaczepki. Nieogoleni, starsi mężczyźni spoglądali na nią, jakby była ich maskotką. Na ich ustach widniał lubieżny uśmiech ukazujący ich próchniejące, żółte zęby. Byli jednak silni. Widziała to po ich szerokich ramionach i wysokim wzroście oraz po sposobie, w jaki zbliżali się do niej. Jeden z nich rzucił butelkę po piwie i rozbił ją pod mostem. Wiedziała, że nie mają dobrych zamiarów.

Spróbowała przypomnieć sobie, jak dotarła w to miejsce. Nigdy dobrowolnie nie schroniłaby się tu. Czyżby została tu przyniesiona? Pierwsze, co przyszło jej na myśl, to, że być może została zgwałcona; jednak spojrzała w dół i zobaczyła, że jest w pełni ubrana. Wiedziała, że to nie to. Cofnęła się myślami, starając się przypomnieć sobie ubiegłą noc.

Ale wszystko przysłaniała bolesna mgła. Widziała jedynie przebłyski: knajpę położoną na poboczu Drogi 9-tej... scysję... Lecz wszystko było takie zamazane. Nie była po prostu w stanie przypomnieć sobie żadnych szczegółów.

– Wiesz, że jesteś pod naszym mostem? – powiedział jeden z oprychów, kiedy już podeszli do niej, zbliżając się coraz bardziej. Scarlet zerwała się na ręce i kolana, potem wstała, odwrócona do nich twarzą, drżąc wewnątrz, jednak nie chcąc okazywać strachu.

– Nikt nie przechodzi tędy bez opłaty – powiedział inny.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie wiem, jak tu trafiłam.

– Twój błąd – powiedział jeszcze inny głębokim, gardłowym głosem, uśmiechając się do niej.

– Proszę – powiedziała Scarlet, starając się zabrzmieć twardo, lecz jej głos zadrżał i cofnęła się o krok. – Nie chcę żadnych kłopotów. Już sobie idę. Przepraszam.

Z mocno walącym sercem odwróciła się, by odejść, ale nagle usłyszała biegnące ku niej kroki i poczuła rękę zaciskającą się wokół jej szyi, przyciskającą nóż do jej gardła oraz okropny, zalatujący piwem oddech na swej twarzy.

– O nie, kochana – powiedział. – Nawet nie przedstawiliśmy się jeszcze.

Scarlet zaczęła walczyć, ale mężczyzna był zbyt silny, a jego szczecina podrapała jej policzek, kiedy otarł się twarzą o jej twarz.

Wkrótce pojawiła się przed nią pozostała trójka. Scarlet krzyknęła, walcząc nadaremnie. Potem poczuła, jak ich ohydne dłonie przesunęły się w dół jej brzucha. Jedna z nich sięgnęła jej do pasa.

Scarlet szarpała się i wykręcała, próbując uciec – ale byli zbyt silni. Jeden z nich sięgnął do jej pasa i zerwał go, po czym rzucił na ziemię, a ona usłyszała szczęk metalowej klamry uderzającej o cement.

– Proszę, puśćcie mnie! – krzyknęła, wijąc się w ich uścisku.

Czwarty menel sięgnął i chwycił jej jeansy za pas, po czym zaczął je ściągać, próbując zerwać je z niej. Scarlet wiedziała, że za chwilę, jeżeli nic nie zrobi, to oni wyrządzą jej krzywdę.

Coś w jej wnętrzu pękło. Nie rozumiała tego, ale całkowicie ją to pochłonęło, jakby załała ją jakaś energia, wezbrała od stóp, przez nogi i cały tułów. Odczuła ją, jako palący żar, przeszywający jej barki, ramiona, aż po czubki palców. Jej twarz spąsowiała, włosy stanęły dęba i poczuła ogień trawiący jej wnętrze. Poczuła siłę, której nie rozumiała, czuła, że jest silniejsza niż oni wszyscy, silniejsza niż cokolwiek innego na świecie.

Potem poczuła coś jeszcze: pierwotny gniew. Był całkiem nowym odczuciem. Nie pragnęła już uciec – chciała zostać tu, na miejscu, i sprawić, aby ci mężczyźni zapłacili jej za wszystko. Chciała rozedrzeć ich na strzępy, kończyła po kończyne.

I w końcu poczuła jeszcze coś: głód. Głęboki, nękający głód, który sprawił, że zapragnęła zaspokoić to pragnienie.

Odchyliła się i zawarczała, wydała z siebie dźwięk, który ją samą przeraził; z jej zębów wyrosły kły, a ona odchyliła się i kopnęła mężczyznę sięgającego do jej jeansów. Jej kop był na tyle energiczny, że mężczyzna poleciał w powietrzu dobre dwadzieścia stóp, zanim walnął głową o betonową ścianę. Pozbawiony przytomności, osunął się na ziemię.

Pozostali cofnęli się, wypuszczając ją z uścisku, z ustami otwartymi z szoku i przerażenia, gapiąc się na Scarlet. Wyglądali tak, jakby właśnie zdali sobie sprawę, że popełnili wielki błąd.

Zanim zdążyli zareagować, Scarlet obróciła się na pięcie i uderzyła łokciem trzymającego ją mężczyznę, waląc w jego szczękę tak mocno, że obrócił się dwukrotnie dookoła swej osi i upadł, straciwszy przytomność.

Scarlet odwróciła się, warcząc, i stanęła twarzą w twarz z pozostałą dwójką, spoglądając na nich niczym bestia na swe ofiary. Obaj łachmaniarze stali przed nią z oczyma otwartymi szeroko ze strachu. Scarlet usłyszała jakiś dźwięk i kiedy spuściła wzrok, zauważyła, że jeden z nich właśnie się posikał.

Sięgnęła do ziemi, podniosła swój pasek i ruszyła przed siebie beztrąsko.

Mężczyzna zachwiał się w tył, skamieniały ze strachu.

– Nie! – zajęczał. – Proszę! Ja nie chciałem!

Scarlet rzuciła się w przód i owinęła pas wokół jego szyi. Potem uniosła go jedną ręką, aż nogi mu zadyndały nad ziemią, a mężczyzna zaczął sapać, szarpiąc za pasek. Przytrzymała go w ten sposób wysoko nad głową, aż w końcu przestał się ruszać i zawisł bez życia.

Scarlet odwróciła się i zmierzyła wzrokiem ostatniego lumpa, który płakał zbyt przestraszony, by uciekać. Z wydłużonymi kłami Scarlet podeszła bliżej i zatopiła je w jego gardle. Zadygotał w jej ramionach, po czym po chwili zwiśł w kałuży krwi bezwładnie.

Scarlet usłyszała odgłos kogoś uciekającego w oddali, a kiedy obejrzała się zobaczyła, jak pierwszy menel wstaje z jękiem, powoli podnosi się na nogi. Spojrzał na nią oczyma szeroko otwartymi ze strachu i padł na ręce i kolana, próbując wymknąć się w ten sposób.

Rzuciła się na niego.

– Proszę, nie rób mi nic złego – wyjąkał, płacząc. – Ja nie chciałem. Nie wiem, czym jesteś, ale nie chciałem.

– Jestem pewna, że nie – odpowiedziała mrocznym, nieludzkim głosem. – Dokładnie tak samo jak ja nie chcę zrobić tego, co za chwilę cię spotka.

Podniosła go za tył koszuli, okręciła i rzuciła ze wszystkich sił – prosto w górę.

Menel pomknął niczym pocisk w górę pod mostem, uderzając głową i barkami w cement i przebijając się na drugą stronę przy dźwiękach opadającego wszędzie gruzu. Utknął do połowy w moście z nogami dyndającymi poniżej.

Scarlet wbiegła na górę, na most, jednym susem i zobaczyła jego tułów tkwiący w betonie, głowę i barki wystające nad jezdnią. Mężczyzna wrzeszczał, nie mogąc poruszyć się, wykręcał i wił, starając się uwolnić.

Lecz nie mógł. Był nieruchomym celem dla każdego pojazdu, który akurat wtedy przejeżdżał.

– Wyciągnij mnie stąd! – zażądał.

Scarlet uśmiechnęła się.

– Może następnym razem – powiedziała. – Miłej zabawy.

Odwróciła się, skoczyła i odleciała pod niebo, a odgłos krzyków mężczyzny stawał się coraz słabszy i niewyraźny, kiedy tak wznosiła się coraz wyżej, z dala od tego miejsca, nie mając pojęcia, gdzie jest i nie dbając już o to. Tylko jedna osoba majaczyła w jej umyśle: Sage. Oczyma swej duszy wciąż widziała jego twarz, jego idealnie rzeźbiony podbródek i wargi, jego smętny wzrok. Wyczuwała miłość, jaką ją darzył. I czuła to samo do niego.

Nie wiedziała już, gdzie na tym bożym świecie znajduje się jej dom, ale było jej wszystko jedno tak długo, jak była blisko niego.

***Sage, pomyślała. Zaczekaj na mnie. Już idę***

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Maria siedziała wraz z przyjaciółkami w zagonie z dyniami, nienawidząc życia, pałając zazdrością o nie wszystkie. Każda zdawała się mieć chłopaka oprócz niej. A te, które nie miały, zdawały się cieszyć naprawdę silnym wsparciem przyjaciół, którzy zawsze trzymali się razem.

Siedziała na stosie dyń, razem z Beccą i Jasmine przy boku i nie wiedziała, gdzie jest jej miejsce. Zawsze cieszyła się zgraną kliką, trwała i wieczną, tylko one cztery: ona, Becca, Jasmine oraz, oczywiście, jej najlepsza psiapsiółka, Scarlet. Były nierozłączne. Jeśli jedna z nich nie miała chłopaka, zawsze mogła liczyć na pozostałe. Razem ze Scarlet poprzysięgły nigdy ze sobą nie walczyć, iść do tego samego college'u, pełnić obowiązki drużyny na swoich ślubach i zawsze już mieszkać w odległości nie większej niż dziesięć przecznic od siebie.

Maria była taka pewna swoich przyjaciółek, Scarlet, wszystkiego.

Potem, w przeciągu kilku ostatnich tygodni, wszystko nagle rozpadło się, bez ostrzeżenia. Scarlet wykradła Sage'a wprost spod jej nosa, jedynego faceta od bardzo długiego czasu, na punkcie którego Maria miała obsesję. Maria spałowała na wspomnienie tego upokorzenia; dzięki Scarlet wyszła na idiotkę. Wciąż jeszcze była na nią wściekła i nie sądziła, że wybaczy jej kiedykolwiek.

Wróciła myślami do ich ostatniej sprzeczki, do tego, jak Scarlet broniła się, twierdząc, że podoba się Sage'owi, że wcale go nie ukradła. Głęboko w sercu, właściwie wiedziała, że Scarlet prawdopodobnie ma rację. Mimo to, musiała kogoś obwinić i o wiele łatwiej przyszło jej oskarżyć Scarlet niż samą siebie.

Ktoś zderzył się z nią i Maria ześliznęła się ze stosu dyń, lądując na ziemi i brudząc jeansy.

– Uważaj! – wrzasnęła wkurzona.

Obejrzała się i zauważyła, że był to jeden z pijanych chłopaków. Setki uczniów z jej rocznika zgromadziły się tu, jak zwykle w ramach tradycji, w dzień po wielkiej imprezie, na te głupie szkolne „dyniobranie.” Każdy wiedział, że nikt ich tak naprawdę nie zbiera. Wszyscy siedzieli po prostu na polu dyniowym, opychając się pączkami i pijąc gorący napój z jabłek, podczas gdy szkolna hołota zaprawiała napój ginem. I właśnie jeden z tych chłopaków wpadł na nią przed chwilą. Nawet nie zauważył, że to zrobił, serwując dodatkowo obelgę, kiedy przetoczył się dalej. Maria знаła go i wiedziała, że wszyscy oni, ci chłopcy, którzy pili już w tym wieku, niczego w życiu ostatecznie nie osiągną i właśnie w tym znalazła pociechę.

Musiała oczyścić myśli. Nie mogła już dłużej znieść tego wszystkiego. Pragnęła po prostu uciec. Wciąż była wściekła, a do tego nie wiedziała już, z jakiego powodu. Utrata najlepszej przyjaciółki, nawet mimo obecności Jasmine i Becci, sprawiła, że nie wiedziała, co ze sobą począć. I wciąż odczuwała, że pragnie Sage'a, co tylko pogarszało wszystko jeszcze bardziej. Myśli o nim doprowadzały ją do obłądu.

Podniosła się na nogi i ruszyła przed siebie.

– Gdzie idziesz? – spytała Jasmine.

Maria wzruszyła ramionami.

– Muszę zaczerpnąć tchu.

Przepchnęła się przez tłum, idąc coraz dalej i dalej do końca uprawnego pola, leżącego na peryferiach ich miasta, patrząc na te wszystkie dzieciaki z kubkami w dłoniach siedzące i śmiejące się, wydawałoby się takie szczęśliwe. Wszyscy oprócz niej. W tej chwili nienawidziła ich wszystkich.

Dotarła na skraj tłumy i szła dalej, aż znalazła pojedynczy stóg siana na skraju kukurydzianego labiryntu.

Złożyła głowę w dłoniach i powstrzymała łzy. Czuła przygnębienie i nie wiedziała dlaczego. Sądziła, że głównie z powodu tego, że z jej życia znikła Scarlet. Zwykła przysyłać jej setki wiadomości każdego dnia. Nie rozumiała też, dlaczego to wszystko tak się potoczyło. I nie mogła

przestać myśleć o Sage'u, chociaż wiedziała, że nie podoba się mu. Zamknęła oczy i siłą woli nakłaniała go raz po raz, by pojawił się przed nią.

*Sage, oddam wszystko, pomyślała. Przybądź tu. Pragnę cię. Potrzebuję.*

– Co taka ślicznotka jak ty robi tu, siedząc całkiem sama? – odezwał się czyjś mroczny, uwodzicielski głos.

Maria wzdygnęła się, a kiedy otworzyła oczy, wpadła w zupełne osłupienie na widok tego, co miała przed sobą. Nie był to Sage. Ale facet, cudowniejszy nawet od Sage'a, jeśli w ogóle to możliwe. Miał na sobie czarne, skórzane buty, czarne, skórzane jeansy, czarną koszulkę, niewielki, czarny naszyjnik z zębów rekina oraz dopasowaną, czarną, skórzaną kurtkę. Miał szare oczy, faliste, brązowe włosy i nieznacznym, idealnym uśmiechem. Miał w sobie więcej seksapilu niż jakikolwiek znany jej dotąd chłopak: wyglądał jak gwiazdor rocka, który zszedł ze sceny tylko dla niej.

Maria zamrugwała kilkakrotnie powiekami i rozejrzała się wokoło, zastanawiając się, czy to jakiś żart. Ale był tam jedyną osobą i to on do niej właśnie przemawiał, nie kto inny. Chciała coś odpowiedzieć, lecz słowa uwięzły jej w gardle.

– Ślicznotka? – zdołała jedynie odpowiedzieć z sercem tłukącym się jak oszałałe.

Zaśmiał się i był to najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszała.

– Hejże, wszyscy świetnie się bawią. Dlaczego ty jedna nie?

Nie czekając ani chwili, podszedł z wdziękiem, wyciągnął dłoń, a ona, nie zdając sobie z tego sprawy, wzięła ją, zeskoczyła ze stołu siana i poszła razem z nim, trzymając się za dłonie, prosto w kukurydziany labirynt. Była nim tak bardzo zachwycona, że nie przyszło jej nawet do głowy, by zastanowić się, pomyśleć, że to nie jest do końca normalne. Zmaterializował się przed nią obiekt jej fantazji i całkowicie straciła dla niego głowę. Ale nie zamierzała tak zupełnie o nic nie zapytać.

– Yy... kim jesteś? – spytała nieśmiało drżącym głosem, obezwładniona jego dotykiem na swej dłoni.

– Szukałem dziewczyny do labiryntu – powiedział z uśmiechem, kiedy weszli do środka. – To mój szczęśliwy dzień. Jesteś Maria, prawda?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Skąd znasz moje imię?

Uśmiechnął się, a potem roześmiał.

– Wkrótce dowiesz się, że wiem po prostu wszystko. A co do mojego imienia: możesz nazywać mnie Lore.

\*

Lore szedł pod rękę z przyjaciółką Scarlet, zadowolony z siebie, z tego, jak łatwo przyszło mu ją uwieść. Ludzie byli zbyt delikatni, zbyt naiwni – to nawet nie było w porządku. Nie musiał praktycznie używać swych mocy, by w jednej chwili, mieć ją w garści. Po części, pragnął ucztować na niej, wysączyć energię z jej ciała i porzucić ją, jak to robił z pozostałymi ludźmi.

Jednocześnie coś podpowiadało mu, by zachować cierpliwość. Jakby nie było, spenetrował całą okolicę i wylądował tu tylko ze względu na nią. Szukał sposobu by dotrzeć do Scarlet i kiedy szybował, wyczuł silne uczucie Marii, które przeniknęło świat; wyczuł jej pożądanie do Sage'a, jej rozpacz. Przyciągnęły go niczym magnes.

Wypatrzył ją z nieba swym sokolim wzrokiem, a kiedy zanurkował w powietrzu, zdał sobie sprawę, że Maria będzie przecież stanowić idealną pułapkę, ktoś taki samotny, tak podatny – i tak bliski Scarlet. Jeśli ktokolwiek miał wiedzieć, jak znaleźć Scarlet, to musiała być ona. Zdecydował, że zaprzyjaźni się z nią, wykorzysta, by odnaleźć Scarlet, a kiedy już to osiągnie, zabije ją. W międzyczasie, równie dobrze może się nią zabawić. Ta żałosna ludzka kobieta uwierzy we wszystkie fantazje.

– Yy... nie rozumiem... – powiedziała Maria drżącym, podenerwowanym głosem. – Wyjaśnij mi to jeszcze raz. Mówiłeś, że jesteś... nowy, czy coś.

Lore roześmiał się.

– Tak jakby – powiedział.

– To znaczy, będziesz chodził do naszej szkoły? – spytała.

– Myślę, że nie mam czasu na szkołę – odparł.

– Co to znaczy? Nie jesteś w moim wieku? – spytała.

– Jestem. Ale ukończyłem szkołę dawno temu.

Lore niemal powiedział *wieki temu*, lecz w ostatniej sekundzie powstrzymał się na szczęście.

– Dawno temu? Co masz na myśli? Jesteś jakiś super uzdolniony, czy co? Spojrzała na niego szerokimi, pełnymi uwielbienia oczyma, a on uśmiechnął się do niej.

– Coś w tym stylu – powiedział. – Więc twoi przyjaciele zostali tam, na przyjęciu? – dodał.

Maria skinęła głową.

– Taa, wszyscy oprócz... Cóż, już i tak nie przyjaźnię się z nią, więc tak, wszyscy są tam.

– Oprócz kogo? – spytał zaintrygowany Lore.

Maria zarumieniła się.

– No, mojej byłej najlepszej przyjaciółki. Nie ma jej tam. Ale jak już mówiłam, już nie przyjaźnimy się.

Lore zawahał się tym razem, zastanawiając się na głos.

– Co się stało między wami dwiema? – spytał ostrożnie.

Maria wzruszyła ramionami i poszli dalej w milczeniu, roznosiąc butami siano z chrzęstem.

– Nie musisz mi mówić – powiedział w końcu Lore. – I tak wiem, jak to jest zrazić się do przyjaciela. Mój kuzyn. Kiedyś byliśmy sobie bliscy, jak bracia. Teraz nawet ze sobą nie rozmawiamy.

Maria podniosła na niego wzrok i spojrzała ze współczuciem.

– To okropne – powiedziała. – Co się stało?

Lore wzruszył ramionami.

– Długa historia. *Licząca całe wieki*, chciał dodać, ale powstrzymał się.

Maria skinęła głową, najwyraźniej solidaryzując się z nim.

– Cóż, skoro wydajesz się mnie rozumieć – powiedziała – w takim razie powiem ci. Nie wiem, dlaczego, nawet ciebie nie znam, ale czuję, że wszystko zrozumiesz.

Lore uśmiechnął się do niej uspokajająco.

– Zdaje się, że w ten sposób oddziałuję na ludzi – powiedział.

– W każdym razie – kontynuowała Maria – Scarlet, moja przyjaciółka, ona tak jakby podkradła faceta, który mi się podobał. Nie, żeby mnie jeszcze obchodził.

Maria zamilkła i Lore wyczuł, że chciała powiedzieć coś jeszcze i odczytał jej myśli:

*Cóż, przynajmniej od chwili, kiedy poznałam ciebie.*

Lore uśmiechnął się.

– Kradzież czyjegoś chłopaka – powiedział, potrząsając głową. – Nie ma nic gorszego.

Ścisnął jej dłoń jeszcze bardziej, a Maria skwitowała go półuśmiechem.

– Więc już nie przyjaźnicie się ze sobą?

Maria potrząsnęła głową.

– Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać – powiedziała.

Lore wyczuł, że wywiera zbyt duży nacisk. Miał sporo czasu, by ją uwieść, by dowiedzieć się o Scarlet wszystkiego, co trzeba. W międzyczasie musiał sprawić, by mu zaufała – uwierzyła bezgranicznie.

Dotarli do środka kukurydzianego labiryntu, zatrzymali się i stali. Maria odwróciła wzrok, a Lore wyczuł jej ogromne podenerwowanie.

– No więc, co teraz? – spytała z drżącymi dłońmi. – Może wrócimy? – dodała.

Odczytał jej myśli.

*Mam nadzieję, że nie chce wracać. Mam nadzieję, że mnie pocałuje. Proszę, pocałuj mnie.*  
Lore sięgnął dłońmi, objął jej policzki, nachylił się i pocałował ją.  
Na początku Maria opierała się, odpychając go.

**Lecz potem stopniała pod wpływem jego pocałunku. Wyczuł, że rozpływa się w jego objęciach i już wiedział, że od tej chwili Maria należy całkowicie do niego**

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Scarlet leciała po porannym niebie, ocierając łzy, wciąż wstrząśnięta po incydencie pod mostem, starając się zrozumieć wszystko to, co się jej przytrafia. Frunęła. Ledwie potrafiła w to uwierzyć. Nie wiedziała, w jaki sposób, lecz wyrosły jej skrzydła i po prostu wystartowała, wzbiła się w powietrze, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem. Nie mogła zrozumieć, dlaczego światło rani jej oczy, dlaczego skóra zaczyna ją swędzić na słońcu. Na szczęście zachmurzyło się tego dnia, co przyniosło jej odrobinę ulgi; ale mimo to, nie czuła się sobą.

Była taka zagubiona, taka samotna i nie wiedziała, dokąd się udać. Czuła, że nie może wrócić do domu, nie po tym wszystkim, co się stało, nie po tym, jak odkryła, że mama pragnie jej śmierci, że wszyscy ją nienawidzą. Nie mogła również iść do przyjaciółek. Maria przecież również jej nienawidziła i wydawało się, że nastawiła przeciwko niej pozostałych. Nie mogła wrócić do szkoły, nie mogła tak po prostu z powrotem wkroczyć w swe normalne życie, zwłaszcza po tej wielkiej awanturze z Vivian na zabawie.

W jakiejś mierze pragnęła zwinąć się w kłębek i umrzeć. Czuła, że nie ma już na świecie miejsca, które mogłaby traktować jak dom.

Przefrunęła nad swym rodzinnym miastem i kiedy mijała własny dom odniosła przedziwne odczucie, spoglądając na niego z góry. Frunęła wystarczająco wysoko, by nikt jej nie zauważył, a ona widziała miasto z lotu ptaka, jak nigdy dotąd. Widziała idealnie rozplanowane przecznice, siatkę krzyżujących się linii, czyste ulice, wysoką iglicę kościoła; wszędzie widziała przewody, telefoniczne słupy, wszystkie te pochyłe dachy, niektóre pokryte gontami, inne dachówkami, większość liczące wiele lat. Widziała ptaki usadowione na dachach i pojedynczy, purpurowy balon unoszący się w jej stronę.

Listopadowy wiatr był na tej wysokości dość chłodny i smagał jej twarz, przyprawiając Scarlet o dreszcze. Chciała zniżyć lot, ogrzać się gdzieś.

Kiedy tak frunęła, zastanawiając się, jedyną osobą, którą widziała, jedyną twarzą, która ustawicznie pojawiała się w jej umyśle, była ta należąca do Sage'a. Nie pojawił się z powrotem w domu zgodnie z tym, co przyrzekł; wystawił ją do wiatru i wciąż była za to na niego wściekła. Scarlet założyła, że nie chce jej już więcej widzieć.

Z drugiej strony jednak, naprawdę nie była pewna, co się wydarzyło. Może, ale tylko może, był jakiś powód, dla którego Sage nie pojawił się. Może mimo wszystko kochał ją nadal.

Im więcej o tym myślała, tym większą odczuwała potrzebę zobaczenia się z nim. Musiała ujrzeć znajomą twarz, kogoś, komu wciąż na niej zależało, kto ją kochał. Lub przynajmniej kto kochał ją kiedyś.

Podjęła decyzję. Skręciła i skierowała się na zachód, w kierunku rzeki, w stronę miejsca, gdzie jak wiedziała, mieszka Sage. Frunęła dalej obrzeżami miasta, spoglądając w dół na główne drogi, używając ich jako drogowskazu. Jej serce zabiło szybciej, kiedy uzmysłowiła sobie, że dotrze do niego za kilka chwil.

Kiedy zostawiła miasto za sobą, krajobraz zmienił się: zamiast idealnie rozplanowanych dzielnic i domów, zobaczyła mniej liczne domostwa, większe działki ziemi, więcej drzew... Parcele przeistoczyły się z dwuakrowych w czteroakrowe, sześć-, potem dziesięć-, dwudziesto- ... Wkraczała na tereny wielkich posesji.

Dotarła do brzegów rzeki i kiedy skręciła i poleciała wzdłuż nich, pod sobą zobaczyła te wszystkie posiadłości wraz z ich długimi, rozległymi podjazdami, otoczonymi wiekowymi dębami i robiącymi wrażenie bramami. Wszystko to załatywało bogactwem, historią, pieniędzmi i władzą.

Minęła największą i najelegantszą z nich, oddaloną od głównej drogi o kilka akrów, położoną pięknie tuż nad brzegiem rzeki, stary dom z wiekowego kamienia, z najwspanialszymi wykuszami i wieżami, z wyglądu przypominający bardziej zamek niż dom. Jego piętnaście kominów sterczało

panionowo niczym latarnie morskie przestworzy. Scarlet nigdy nie zdawała sobie sprawy, jak piękny jest dom Sage'a, dopóki nie ujrzała go z góry.

Zniżyła lot, nurkując w powietrzu z walącym z podenerwowania sercem. Czy Sage w ogóle będzie chciał się z nią jeszcze zobaczyć? A jeśli nie? W przeciwnym razie nie wiedziała, gdzie mogłaby się udać.

Wylądowała przed głównymi drzwiami, opadając łagodnie na ziemię, składając skrzydła i podniosła wzrok na kamienną fasadę – i w tej samej chwili jej serce ogarnął chłód. Nie mogła pojąć tego, co widzi: cały dom, calusienki, był zabity deskami. W miejscu pięknych ozdobnych okien widniała sklejka, przybita pośpiesznie; w miejsce całej wrzawy, którą zastała tu ostatnio, teraz nie było nic.

Dom był opuszczony.

Scarlet usłyszała skrzypnięcie. Obejrzała się na bok i zauważyła zardzewiałą bramę kołyszącą się niedbale, skrzypiącą na wietrze. Odniosła wrażenie, jakby nikt nie mieszkał tu od lat.

Okrzyżowała dom, podfruwając na jego tyły i wylądowała na białym, marmurowym placu, po czym podniosła wzrok na fasadę; nie różniła się bardzo. Dom był całkowicie opustoszały, zabity deskami. Jakby wszystko, co się wydarzyło, nigdy nie zaistniało.

Odwróciła się i spojrzała na rozległe ziemie wiodące do rzeki, wpatrując się w zasnuty chmurami horyzont, ciemne niebo zwiastujące nadejście burzy, rozglądając się wszędzie w poszukiwaniu Sage'a.

Nie wyczuwała tu jego obecności. Ani w tym domu. Ani nigdzie indziej.

Odszedł.

Nie mogła w to uwierzyć. Naprawdę odszedł.

Usiadła, kładąc dłonie na kolanach, i rozplakała się. Czy naprawdę aż tak bardzo jej nienawidził? Czy nie kochał jej nigdy tak naprawdę?

Siedziała tak i płakała dopóki nie poczuła się pusta, odrętwiała. Gapiła się w pustkę, zastanawiając się, co dalej. Właściwie pragnęła włamać się do domu, choćby po to, by się ogrzać i ukryć. Lecz wiedziała, że nie może tego zrobić. Nie była przestępcą.

Siedziała z głową w dłoniach przez zdawałoby się całą wieczność, czując intensywny ból między oczyma, wiedząc, że musi gdzieś iść, coś zrobić. Ale gdzie?

Z jakiegoś powodu ponownie pomyślała o swoich przyjaciółkach. Maria nienawidziła jej, ale nie było powodu, żeby jej pozostałe psiapsiółki również. Były kiedyś tak bliskie sobie. Nawet jeśli nie mogła porozmawiać z Marią, może spróbuje porozmawiać z Beccą lub Jasmine. Scarlet nic im przecież nie zrobiła. I od czego ma się przyjaciółki, jeśli nie można liczyć na nie w takich chwilach?

**Wstała, obtarła łzy, zrobiła trzy kroki i skoczyła w powietrze.  
Zamierzała znaleźć przyjaciółki, poprosić, by ją przenocowały,  
tylko tej nocy, a potem pomyśleć, co zrobić ze swoim życiem**

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Ojciec McMullen klęczał przed ołtarzem, obejmując różaniec drżącymi dłońmi i modląc się o jasność myśli. Oraz, musiał to też przyznać, modląc się o ochronę. Jego umysł wciąż podsuwał mu obrazy Scarlet, tej dziewczyny, którą wiele dni temu przyprowadziła do niego jej matka, tej chwili, kiedy nawet w tym świętym przybytku każde okno roztrzaskało się na kawałki. Duchowny zerknął do góry i rozejrzał się wokoło, jakby zastanawiał się czy to wszystko rzeczywiście wydarzyło się – i poczuł ucisk w żołądku, jako że miał przed sobą jaskrawy dowód, zabite deskami otwory po oknach.

*Proszę, Ojcze. Miej nas w swej pieczy. Miej ją w swej pieczy. Ocal nas przed nią. I ocal ją przed nią samą. Proszę o jakiś znak.*

Nie wiedział, co robić. Był księdzem z małej miejsciny, z małomiasteczkową parafią i nie posiadał umiejętności radzenia sobie z tak ogromnymi mocami nadprzyrodzonymi. Czytał o nich w legendach, jednakże nigdy nie sądził, że są prawdziwe, a już na pewno nie doświadczył ich tak realnie.

I teraz, spędziwszy całe życie na modlitwie do Boga, na mówieniu innym o siłach dobra i zła, sam stał się ich świadkiem. Prawdziwie duchowe moce toczyły ze sobą bój, tu na ziemi, na widoku. Teraz ich doświadczył – wszystkiego, o czym kiedykolwiek czytał i rozmawiał z innymi – na własnej skórze.

I wystraszyło go to śmiertelnie.

Zastanawiał się, czy takie zło może rzeczywiście kroczyć po ziemi? Skąd przybyło? Czego chciało? I dlaczego wszystko to trafiło na niego, spadło na jego barki?

Ojciec McMullen natychmiast skontaktował się z Watykanem, informując, co się wydarzyło i prosząc o pomoc, o poradę. Przede wszystkim, pragnął wiedzieć, jak pomóc tej biednej dziewczynie. Czy istniały jakieś prastare modlitwy, ceremonie, których nie zna?

Lecz, ku jego przerażeniu, nigdy nie otrzymał odpowiedzi.

Klęczał, modląc się, jak każdego popołudnia, tym razem jednak wznosząc swe modlitwy dłużej i żarliwiej.

Nagle wzdrygnął się, kiedy ogromne, strzeliste, drewniane drzwi kościelne otworzyły się z hukiem, zalewając wnętrze światłem i wpuszczając zimne podmuchy wiatru, które smagnęły mu plecy. Natychmiast jego ciało ogarnęły dreszcze – i to nie tylko z powodu pogody.

Wyczuł, że coś mrocznego nawiedziło kościół.

Z mocno bijącym sercem wstał na nogi i odwrócił się, stając twarzą do wejścia, zastanawiając się, co to może być. Spojrzał przez przymrużone przed słońcem oczy.

Zobaczył sylwetki trzech mężczyzn po sześćdziesiątce, z białymi włosami, ubranych na czarno, z czarnymi stójkami i w sutannach. Przyjrzał się im z podziwem; mieli w sobie coś dziwnego, coś złowieszczonego. Nie przypominali żadnych księży, jakich kiedykolwiek widział.

– Ojciec McMullen? – spytał jeden z nich.

Duchowny nie cofnął się, kiedy podeszli bliżej, a jedynie skinął głową niepewnie.

– Kim jesteście? – spytał. – Czy mogę jakoś pomóc?

– Wezwaleś nas – powiedział jeden.

Ojciec spojrzał na niego zaintrygowany.

– Tak?

Dotarli do niego i w tej samej chwili jeden z nich wyciągnął w jego kierunku jakieś pismo.

Ojciec wziął je. Było z Watykanu.

– Przysłali nas, byśmy przeprowadzili dochodzenie – powiedział któryś.

Ojciec odczuł ulgę, choć jednocześnie zlustrował ich z obawą, chłonąc szczegóły ich surowego wyglądu.

– Jestem zaszczycony, że chcieliście przybyć tu aż z Watykanu – powiedział. Dziękuję wam za to. Możecie pomóc?

Mężczyźni zignorowali go jednak, odwrócili się i przyjrzeni skleję na oknach, patrząc wymownie na siebie nawzajem, jakby dokładnie wiedzieli, co tu zaszło.

– Ta dziewczyna, którą opisałeś – powiedział jeden posępnym, niskim głosem. – Jak się nazywa?

– Ma na imię Scarlet – odparł ojciec McMullen.

– Nazwisko? – spytał ten sam mężczyzna.

Ojciec spojrzał na niego niepewnie. Nie wiedział, czy powinien chronić swoją parafiankę, bronić jej prywatności. Lecz wiedział, że to głupie; ci ludzie należeli do Kościoła.

– Paine – odpowiedział, odczuwając rosnące niezdecydowanie.

Jeden z nich odnotował to i przemówił ponownie.

– Gdzie mieszka? – ponaglił.

Tym razem duchowny odczuł jeszcze większą wątpliwość. Odchrząknął.

– Z całym szacunkiem, mogę spytać, dlaczego zadajecie te wszystkie pytania?

Mężczyźni spojrzeli po sobie z dezaprobatą, po czym jeden z nich wystąpił do przodu. Podszedł za blisko i ojciec cofnął się o pół kroku.

– Jeśli mamy jej pomóc – powiedział powoli ponurym głosem – musimy wiedzieć o wszystkim.

– Nachylił się. – *O wszystkim.*

Ojciec odchrząknął i odwrócił wzrok.

– Cóż... powiedział, po czym zamilkł. – Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób planujecie jej pomóc. Być może uda mi się sprowadzić ją tu do kościoła, by udzielić jej posługi?

Pragnął, by ci mężczyźni, co do których odczuwał taką niepewność, pozostali na neutralnym gruncie.

– Ojcie – powiedział jeden z nich, robiąc krok do przodu i chwytając go za ramię zdecydowanie. – Sądzę, że nas nie zrozumiałeś. Nie przybyliśmy pomóc twojej parafiance. Jesteśmy tu, by ją *powstrzymać*.

– Powstrzymać? – powiedział duchowny ze zgrozą. – Co tak dokładnie to oznacza? Ona jest dopiero nastolatką.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Jest czymś o wiele więcej. Jest pradawną, demoniczną duszą, która dokona zniszczeń niepodobnych do niczego na ziemi. Naszym zadaniem, jako członków Kościoła, jest powstrzymanie jej – za wszelką cenę.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.